

Spory wokół poezji Gałczyńskiego toczą się nie od wczoraj. Nawet osłabły od czasu, kiedy poecie nie szczędzono najcięższych zarzutów i nie przebiegając w słowach zarzucano mu rozmaite „izmy”. Dziś skłonni jesteśmy dyskutować o Gałczyńskim znacznie rozsądniej, co nie znaczy, że ranga i miejsce jego liryki ustaliła się przekonująco dla wszystkich.

„Człowiekiem zniecka” nazywa Gałczyńskiego Stanisław Grochowiak.

Bo też Gałczyński, jak mało który poeta, jest autorem tylu niespodzianek, na jakie narażony jest uważny czytelnik jego poezji. Nieprzejednany wróg drobnomieszczaństwa, a obok utworu opiewające łagodne ciepło domowego ogniska; demaskator metafizycznych wahań i rozterek inteligencji, a obok „Notatki z nieudanych rekolekcji paryskich” — dokument takich właśnie niepokojów; niespokojny cygan i buntownik, sławiący uroki nie unormowanego i rozwichrzonego życia, a obok subtelne liryki „mażeńskie”, opiewające spokój domowego ogniska i uśmiech Natalii. Zaiste, to poezja pełna — pozornych czy prawdziwych, oto pytanie — sprzeczności i powikłań, od których niewolne było wszak życie poety: że wspomnę choćby raptowne przejście od „kwadrygowych” dyskusji do programowych wystąpień na łamach „Prosto z mostu”.

A jednak broniła i broni Gałczyńskiego najczystsza liryka

i takie specyficzne jej cechy, po których zawsze się rozpoznają autora „Kroniki olsztyńskiej”, jak ironia dystans, mądry uśmiech. I nawet — rzeczywiście występująca niekiedy w jego poezji — cała ta fascynacja urokiem atrybutów drobnomieszczańskiego świata nacechowana jest także przewrotnością, drwiną, autoironią.

Teatr Gałczyńskiego... Niedosięgnięte mistrzostwo purenonsensów „Zielonej Gęsi”, „Babcia i wnuczek”. Nieczęsto te rzeczy goszczą na scenach. Bo nie są to przecież pełne, gotowe do wystawienia dramaty, trzeba je dopiero opracować, skonstruować, a w tym celu polubić i — zrozumieć.

Jak wiele cech teatru Mistrza Ildefonsa, ba — jak wiele cech jego poezji można już odnaleźć w młodzieńczej prozie o „Porfirionie Osielku”. Przyjaciele odnajdywali tam z łatwością ślady wspólnych przeżyć, biesiad w Milanówku i w warszawskich knajpkach, zabaw alkoholowo-poetyckich, nocnych spacerów i monologów, niemilkących rozhorów pod księżycem.

„Porfirionem” żegnał Gałczyński swą cygańską młodość, żegnał z sentymentem i pobłażliwie, ale nie bez samokrytycyzmu.

Wszak odbicie tych samych przeżyć zainspirowało go do napisania wiersza „Sympozjon” (w którym pobrzmiwają echa biesiad w milanowskim mieszkaniu kuzynki Stanisława Marii Salińskiego, tak samo, jak w „Porfirionie”), w którym nie bez gorczy wspomina, jak bardzo tą młodością separowali się od świata i jak mało byli przygotowani na jego ciosy. Tak więc wszystkie postaci w „Porfirionie Osielku” miały swoje autentyczne rodowody. Wdowa Heksenszus to była pretensjonalna dama — właścicielka willi w Milanówku a na przykład Soft-tajniak, to nikt inny, jak stryj poety Lucjan Gałczyński, podówczas urzędnik kryminalnego biura śledczego. Trudno zliczyć,

PORFIRION REDIVIVUS



jak wiele charakterystycznych motywów całej twórczości Gałczyńskiego zakiełkowało właśnie w tej prozie, powstałej pod wpływem doraźnych przeżyć. Tutaj obserwujemy narodziny motywu „księżycowego”, który będzie towarzyszył poecie aż do zmięczenia życia, tutaj mamy już do czynienia z tym dwójnym, przewrotnym, traktowaniem drobnomieszczaństwa.

„Porfirion — Osielek” po raz drugi pojawił się na scenie Teatru Polskiego w Warszawie.

Tym razem adaptowała opowieść Krystyna Meissner, która też przedstawiła reżyserowała. Adaptacja jest z gatunku, które nazywamy „sprawnymi”, ale niekiedy trudno się zgodzić z koncepcją całości. Nasuwa się

przypuszczenie, że realizatorka dała się zwieść przewrotności Gałczyńskiego, biorąc wszystko, co zawarł w „Porfirionie” za dobrą monetę. Gdzieś podziła się ironia, drwina pełna zadumy, dystans do tworzywa i samego siebie. Powstało widowisko melancholijne, poważne, zające. Każdy żart jest jakiś taki tęskny, a kiedy już reżyserka chce i as zmusić do śmiechu, to stara się to robić tak niewybrednymi metodami, jak żenująca scena w czasie przyjęcia u wdowy Heksenszus, kiedy aktor spuszcza spodnie, a kobiety na scenie komentują jego męskie walory. To jest rzeczywiście chwyt poniżej pasa. Gdzieś podziła się cała niechęć autora do wdowy Heksenszus i przesmiewcze tendencje w stosunku do jej pretensji, nawet groźny

policjant Soft jest płacziwo-sympatyczny, a Epifania zamiast przeraźliwej — żalonna.

Z Gałczyńskiego zrobiony został w tym przedstawieniu poeta płacziwy, grzeszny, sentymentalny.

Nie ten sam człowiek, który potem napisał „Zieloną Gęś”. Niby dlaczego — przepraszam bardzo — najczystsza liryka nie może być zabarwiona drwiną, dowcipem, sarkazmem? Dlaczego trzeba wszystko rozgraniczać i rozdzielać? Żal trochę szansy powracającego Porfiriona, postaci może i milej, ale na pewno niegodnej celebracji i roztkliwiania. „O Muzo, trochę śmiechu — tyle ile potrzeba dla zabawy gminu!” — pisał Słowacki. A Konstanty Ildefons Gałczyński, wierny temu hasłu, doskonale rozumiał, że liryzm i zaduma świetnie współzyszą z ostrym docinkiem, drwiną, ironią.

MACIEJ KARPIŃSKI

P.S. Wiele szlachetnego poświęcenia wykazała Eugenia Herman jako wdowa Heksenszus, bardzo ładnie wyglądała i mówiła wiersze Monika Sołubianka. Wieszał się na scenie — jako Autor — August Kowalezyk.